

Za ładą, gdzieś w Polsce – 2

23 grudnia 2018

Zacząłem pracę w systemie zmianowym. W sklepie pojawiła się nowa pracownica i zaczął już funkcjonować w normalnych dla tej sieci godzinach, czyli od szóstej do dwudziestej trzeciej.



Czwarty raz widziałem swoją szefową, wpadła po rozliczenie i przy okazji wprowadziła kilka zmian. Główną są właśnie godziny otwarcia, ale nie tylko.

Po dokładnym sprawdzeniu dobowych rozliczeń okazało się, że każdego dnia miałem w kasie jakieś braki. Nie były to znaczne kwoty – ot, po cztery, pięć czy siedem złotych. Ale ich suma dała coś powyżej czterech dych manka. Nie byłem specjalnie zdziwiony – znam siebie i swoją „skrupulatność” finansową. Gubię się nawet w najprostszych rachunkach, a co dopiero przy prowadzeniu sklepu.

Kwota wydawała mi się i tak niezbyt niewielka, zaproponowałem więc, że po prostu to odpracuję. Kobieta nie mogła jednak uwierzyć, że ktoś może aż tak nie znać się na pieniądzach. Zaczęła wypytywać, w jaki sposób zamykam kasę, liczę utarg i kończę pracę. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że najpierw liczę setki, potem pięćdziesiątki, dwudziestki, dychy, piątki i czasem dwójki, a resztą sobie dupy nie zawracam, bo pędzę na

tramwaj. Poprosiła, żebym przyniósł całą szufladę, którą wspólnie przeliczymy. Zrobiłem jak kazała, wysypałem na biurko stos srebrno-miedzianych monet. Zaczęliśmy to wszystko mozolnie układać, liczyć i segregować. Byłem przerażony, kazała liczyć nawet jednogroszówki.

Gdy skończyliśmy, okazało się że nie mam manka, wszystko wyrównało się wraz ze sporą nawiązką. Ponad sto złotych superaty. Bardzo mnie to ucieszyło, byłem pewien że szefową również. Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, z tego też nie była zadowolona. Pomyślałem, że to po prostu taki typ, którego nic nigdy nie zadowoli i zawsze się czepia. Choć tym razem ewidentnie nie ma powodu. A wręcz przeciwnie, czy może być coś lepszego dla kupca niż nadwyżka w kasie? – rozumowałem na swój prosty sposób. Zaczęła tłumaczyć mi zawiłości etyki zawodowej, wspomniała coś o orzniętych klientach i że to źle. Podsumowała wreszcie, że być może w swoim bałaganiarstwie coś sprzedałem, nie nabiłem i przy dokładnym remanencie się wyrówna. Wątpię, ale mam niewielkie szanse by się o tym przekonać. Prędzej czy później i tak z tej roboty wylecę, podobnie jak wylatywałem z poprzednich. Pytanie tylko, kiedy? Alternatywne wyjście jest takie, że sam zrezygnuję.

Najzwyczajniej w świecie, do handlu ani żadnego biznesu się nie nadaję. Nie chodzi tylko o rachunki, ale nie potrafię nawet powiedzieć gdzie co leży i na pytanie klienta czy jest to lub tamto, bezradnie rozkładam ręce.

Jak tu się zresztą nie pogubić w tej masie kolorowych opakowań, powciskanych od podłogi po sufit.

Rodzimy handel, zwłaszcza niewielkie osiedlowe sklepy, polega głównie na sprzedaży artykułów niepotrzebnych. A wszystko upchnięte, wciśnięte od podłogi po sufit. Jedynym wytłumaczeniem tej aranżacji, mogą być horrendalnie wysokie czynsze, być może z tego właśnie powodu właściciele wykorzystują każdy milimetr powierzchni. Ze zwykłej, kupieckiej oszczędności.

Pracuję w tym miejscu od miesiąca, od miesiąca gapię się na te same półki i gdy sam czegoś potrzebuję, to za cholere nie mogę znaleźć. Jedna wielka masa niczego. Zrezygnowany idę wreszcie do innego sklepu, gdzie w razie problemów zawsze mogę poprosić o pomoc kompetentnego sprzedawcę. Tylko warzywa i owoce ułożone są w sposób przejrzysty. Z nimi mam jednak inny kłopot – waga. To kolejne po kasie fiskalnej urządzenie, które musiałem poznać i opanować.

Miałem z tym nie lada kłopot. Kiedyś, pewna kobieta kupowała gruszkę. Położyłem owoc na wadze, wstukałem odpowiednie kody i w kasie wyskoczyła cena – dużo jedynek i ósemka. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na sto osiemnaście złotych. Nie zastanawiałem się specjalnie, maszyna przecież jest nieomylna. Nie przyszło mi do głowy, że trochę dużo jak za napój, bułkę i jedną gruszkę – ale nie od myślenia tam jestem. Klientka również nie protestowała, wzruszyła ramionami i powiedziała, że zapłaci kartą. Po kilku próbach okazało się to niemożliwe. Za każdym razem wyskakiwał komunikat, że takiej kwoty zrealizować nie można. Oboje byliśmy tym zaskoczeni. Gdy jednak ponownie sprawdziłem ponabijane artykuły i ich ceny, moją uwagę zwróciła zaskakująca ilość jedynek w podanej przez komputer kwocie do zapłaty. Trochę za dużo jak na sto osiemnaście, nawet z groszami. Nie było to sto osiemnaście złotych, ale jedenaście tysięcy osiemset. A sama gruszka ważyła nie dwadzieścia deko, a coś ponad tonę. Gdyby kobieta miała taką sumę na koncie, zapewne zapłaciłaby rachunek, a ja następnego dnia nie miałbym już dylematu pracować czy odejść, bo zwyczajnie, z hukiem bym wyleciał.

W znakomitej większości sklepy – zwłaszcza te wiejskie i osiedlowe – zaopatrzone są we wszystko, ale gdy to wszystko leży wszędzie, to nie ma tam nic. Podobne wrażenie miałem na Wyspach, chociaż jedynie w sklepach polskich, tureckich i hinduskich.

Zupełnie inaczej natomiast zapamiętałem Francję. Wiejskie sklepiki świecą tam pustkami. Na pierwszy rzut oka, tam

naprawdę nie ma nic. Po chwili okazuje się, że jest wszystko co potrzebne.

Prawdziwym przekleństwem są dni, podczas przyjęcia towaru, gdy jeszcze muszę poukładać to wszystko na półkach. I co gorsze – na swoim (?) miejscu. To jest właśnie moment, gdy rozstrzyga się we mnie bój o to, czy zostać w tej robocie, czy rzucić ją w cholerę. Trochę szkoda, bo kasa całkiem niezła, a z socjologicznego i reporterskiego punktu widzenia to doskonały materiał i świetny punkt obserwacyjny. Poza tym zdążyłem się zaprzyjaźnić z większością mieszkańców okolicznych kamienic. Zarówno tych od cebulki i soczku, po tych bezpardonowych i niepijących wcale.

Wiem kto jakie papierosy pali – przynajmniej w szulgach się nie gubię, chociaż na początku też miałem kłopot – i z większością ucinamy sobie krótsze lub dłuższe pogawędki. Klientów podzieliłem sobie na trzy kategorie: tych, których lubię, obojętnych i nieznośnych. Obojętni to tacy, którzy wpadają sporadycznie po zapomniany drobiazg, bo główne zakupy zrobili wcześniej w jakimś dużym supermarkecie, sympatyczni to ci, którzy uprzejmie zaczekają ze mną przed sklepem, aż spokojnie dopalę papierosa – jest to też świetna okazja, żeby pogadać, a irytujący to tacy, którzy beczelnie wchodzą do sklepu widząc, że dopiero przypalam szluga. Wtedy muszę go wyrzucić i wejść z nimi do środka. Zazwyczaj nie pozostają dłużny i wyjątkowo długo takich obsługuję, a resztę wydaję w najdrobniejszych jakie tylko mam, monetach. Koniec końców ten irytujący sam jest zirytowany, gdy wychodzi ze sklepu z piętnastoma złotymi w jedno i dwugroszówkach. Taka drobna zemsta kasjera za niedopalonego papierosa.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info